

Recepta na przetrwanie: modlitwa i rodzina

Spotykamy się z Panią Marią Biadaszkiewicz w naszej szkole, czyli Gimnazjum nr 1 im. ks. S. Konarskiego w Jarocinie w związku z tym, że rok 2014 został ogłoszony przez Radę Miejską Jarocina Rokiem Pamięci o mieszkańcach Ziemi Jarocińskiej wypędzonych wskutek II wojny światowej.

Gdy w rodzinie rodzi się dziecko, towarzyszy temu radość, a matka i noworodek otoczeni są szczególną troską, by mogli czuć się najważniejsi, kochani, a przede wszystkim bezpieczni. Pani od pierwszych dni swojego życia uczestniczyła w tragicznych wydarzeniach dla Polaków.

***M.B.** Istotnie, gdyż urodziłam się 29 sierpnia 1939 roku, czyli trzy dni przed wybuchem wojny. Wielką radość rodziców płynącą z narodzin córki ograniczyła atmosfera panująca w miejscu pracy mojego ojca. Cała dokumentacja znajdująca się w Rejonowej Komendzie Uzuppełnień została zabezpieczona i spakowana. Ojciec, Ludwik Hądzelek, jako urzędnik cywilny tej komendy rzadko wracał w tych dniach z pracy do domu. Dlaczego to wszystko, ja nie wiem, moja mama też nie umiała powiedzieć. 1 września 1939 roku postaniec z Komendy doręczył mojej mamie kartę ewakuacyjną z rozkazem dla całej rodziny, ponieważ wszyscy pracownicy tego urzędu, jednostka wojskowa była ewakuowana z Jarocina i mieli jechać razem na granicę z Rumunią w bezpieczne miejsce. Tam podobno mieli za zadanie zorganizować urzędy i powoływać młodzież do wojska. O godz. 7:00 cała rodzina służbowym samochodem została zawieziona na stację. Kierownikiem załadunku był p. Biernacik. Mama nie chciała jechać. Była trzy dni po porodzie, a oprócz mnie miała jeszcze czteroletniego synka, Andrzeja.*

To dlaczego zgodziła się na wyjazd w takich okolicznościach?

***M.B.** Musiała się ewakuować, bo gdyby tego ojciec, nie uczynił, to byłaby dezercja, także to był wyjazd służbowy mojego ojca i wszystkich z całego tego urzędu. W transporcie znalazło się 10 rodzin pracowników RKU w Jarocinie: Grudzińscy, Orłowie, Janasiakowie, Hądzelkowie (nasza 4-osobowa rodzina), Nowakowscy, Paluszkiewiczowie, Stachowiakowie, Zmyśleni oraz rodziny oficerów zawodowych: Molczykowie, Grobelni i inni.*

Wyjeżdżając na wakacje, mimo że wiemy, dokąd jedziemy i na jak długo, nie możemy się zdecydować, co ze sobą zabrać. Jak wyglądał bagaż tych rodzin, bo one nie znały terminu powrotu do domu, miały też niewiele czasu na spakowanie się?

***M.B.** Można było wziąć tylko 200 kg bagażu, żywności na 3 dni. Pakowało się głównie ciepłą odzież, pierzyny, to, co potrzebne jest dzieciom. Nikt nie wiedział, co zastaną na miejscu, w jakich warunkach przyjdzie im żyć i jak długo. Nasz transport miał być początkowo kierowany na południe Polski, ale z uwagi na to, że Niemcy zaatakowali granicę w okolicach Wielunia i Kępna transport nasz skierowano na Kutno-Warszawę, a w Warszawie już na te „szerokie tory”. Może nie wiecie, ale do Związku Radzieckiego wjeżdżało się już innymi torami, nie takimi, jakie u nas są. Tam już są szersze tory. Przetransportowano nas do innych wagonów. 16 września, czyli po 16 dniach jazdy w strachu, pod bombami znaleźliśmy się w okolicach Równa, na stacji Mokre. Teraz to jest Ukraina, ale wtedy to były tereny polskie. Tam ulokowano wszystkie rodziny. W miejscowej szkole złożono akta RKU.*

Mogliście wreszcie odpocząć po trudach długiej, stresującej podróży i poczuć się bezpiecznie.

***M.B.** Tak się wydawało, ale już 17 września na tereny polskie wkroczyły wojska sowieckie. Natychmiast zarządzono zebranie wszystkich mężczyzn z naszego transportu. Ci Polacy, którzy byli w*

mundurach, zostali zabrani przez NKWD i ślad po nich zaginął. Wywieziono ich do obozów jenieckich i zginęli później właśnie w Katyniu, w Ostaszkowie. Mój ojciec był urzędnikiem cywilnym, nie nosił munduru, więc mógł wrócić do rodziny tak jak inni cywile. Przewieziono nas do wioski Listwin, ale w związku z wrogimi nastrojami Ukraińców do nas, porozwożono wszystkich szybko do innych miejscowości. Moi rodzice bardzo chcieli, żebym została ochrzczona. Chrzest odbył się 22.10. 1939 r. w kościele w Warkowicach, na Ukrainie, a moimi chrzestnymi byli p. Spychaj i p. Nowakowska. Następnie zawieziono wszystkich do Bortnicy, gdzie znajdowała się polska osada wojskowa, której mieszkańcami byli żołnierze wojny 1920 roku.

Cały czas tułaczka z miejsca na miejsce. Czy Bortnica to już kres tej wędrówki?

***M.B.** Niestety, najgorsze miało dopiero nastąpić. 10 lutego 1940 roku, w straszliwy mróz całą osadę wywieziono w głąb ZSRR. Było to w nocy, z zaskoczenia. Ludzie spali, tak jak stali ubrani byli wpychani do samochodów i wywożeni w okolice Archangielska. Myśmy też właśnie tego 10 lutego w tej pierwszej deportacji się znaleźli. Pierwsza deportacja objęła właśnie tych wszystkich Polaków, którzy byli tam osiedleni właśnie po tym 1920 roku. To była taka zawiść aż do tego dnia za tą zwycięską wojnę. Tego 10 lutego zostaliśmy też ewakuowani, ale jeszcze nie w głąb Związku Radzieckiego, tylko tutaj bliżej w takie miejsce, gdzie utworzono kołchoz. Byliśmy tam do wiosny 1940 roku, a potem przewieziono nas do innej wioski i tak urwał się kontakt nasz z rodzinami z Jarocina, bo tu jechało nas, 15 rodzin chyba było, to były duże rodziny. Nasza rodzina składała się z 4 osób: ja, rodzice i brat starszy, ale były takie rodziny, gdzie było pięcioro, sześcioro dzieci, to wszyscy też tam byli. Dowiedzieliśmy się, że we Włodzimierzu Wołyńskim pracuje komisja niemiecka ds. ewakuacji i że będzie można się zapisać na powrót do Polski. Nie udało się jednak ani zapisać, ani wrócić do domu, ale spotkaliśmy tam rodzinę Janiasiaków z Jarocina.*

Trwa ofensywa niemiecka na zachodzie Europy, a ZSRR realizuje ustalenia wynikające z paktu Ribbentrop-Mołotow. Wojna i polityka wpływają na życie Polaków niemiłosiernie, ale wywiezione rodziny odczuwają to chyba w sposób szczególnie wyjątkowy?

***M.B.** Nasz los jest w dalszym ciągu niejasny i niepewny. Nasza gehenna trwa. W 1940 roku NKWD dokonało spisu ludności polskiej po to, by 29 czerwca 1940r. deportować nas na Sybir, do stacji Asino. No i jechaliśmy tam bardzo długo, bo Asino leży za Uralem, tam, gdzie jest północny Kazachstan, gdzie płyną rzeki: Ob i Irtysz. Po drodze mijaliśmy Pietropawłowsk. To była po prostu obłast Pietropawłowsk, tak jak u nas są województwa, to tam są obłasti. Tak to się nazywa. Nie byliśmy jednak sami. W wagonie jechali też Janasiakowie z trójką dzieci, ich ojciec, jego siostra oraz teściowa, a także Nowakowscy z czwórką dzieci i siostra p. Nowakowskiej. Innych rodzin nie znaleźmy. Z pociągu wysadzono nas w jakiejś miejscowości nad Obem i dalej płynęliśmy już rzeką. Po pewnym czasie wyładowano nas w lesie. Najpierw wozami zaprzężonymi w woły, a potem ciężarowymi samochodami Rosjanie zawieźli wszystkich do wsi Abkaszewo.*

Zastanawia nas to, jak dzieci mogły przeżyć trudy takiego życia, złe odżywianie, tragiczne warunki higieniczne, brak opieki lekarskiej, surowe warunki klimatyczne. W chwili wyjazdu z Jarocina Pani była przecież noworodkiem.

***M.B.** Moja mama opowiadała mi, że do drugiego roku życia karmiła mnie piersią, ale skąd brał się ten pokarm, to trudno wytłumaczyć. Opatrzność Boża nas nie opuszczała i chęć przetrwania. Podczas podróży dawano nam gorącą wodę i zupę tak zwany chlipotok. Ta zupa to taka właściwie też woda,*

nie wiadomo z czym i z czego. W Abkaszewie po wodę chodziliśmy do Obu, mama kąpała mnie w nim. Jedliśmy szczaw, grzyby, poziomki zbierane na stepie wiosną i latem takie duże jak polskie truskawki. Otrzymywaliśmy bardzo małe racje żywnościowe, dla dzieci małe ilości mąki pszennej i kaszy. Z głodu, chorób i wycieńczenia umierało wielu zesłańców.

A jakie były warunki mieszkaniowe?

M.B. W tym Abkaszewie zakwaterowano nas na terenie pustego obozu po więźniach politycznych. Tam były takie duże, drewniane baraki. Nie patrzyli, że to jest jedno pomieszczenie, a rodzin no było przecież kilka. Każda rodzina jakimś tam swoim sposobem, najczęściej deskami, sobie poodgradzała tak, że ta intymność rodzinna była. W tym baraku mieszkała z nami taka grupa rodzin z Jarocina m.in. państwo Molczykowie z dziećmi, z których jeden z nich, Eugeniusz później był polskim generałem. Była też rodzina Nowakowskich i Grodzińskich. Zrobiliśmy sobie prycze do spania z desek. Baraki były strasznie zapluskwione.

Jak wyglądało tam życie codzienne, czym zajmowali się Pani rodzice? Jak byli Polacy traktowani?

M.B. Mój ojciec był w lesie, w tajdze jako drwal zatrudniony. Dostał kufajkę i walonki. Mama ze względu na to, że małe dzieci miała, nie pracowała. Racje żywnościowe otrzymywaliśmy bardzo małe i dlatego trochę zamieniało się rzeczy przywiezione z Polski u miejscowej ludności, ale też ciągle jedzenia brakowało. Nie byli tam tylko Polacy, byli ludzie różnych narodowości, ale przede wszystkim było bardzo dużo Żydów. Żydzi byli dobrzy. Jeden z nich, sklepikarz Kraman dawał mamie z litości trochę więcej kaszy i to nas ratowało. Podlegaliśmy nadzorowi NKWD. Spotykało nas ze strony dozorców poniżenie i upodlenie, ogromny strach na każdym kroku o życie własne. Rodzice bali się o dzieci. Tam ci Ukraińcy, też mieli tak jak my. Oni też mieli ciężkie życie, chałupka była i kawałek tego ogródka, a broń Boże, jak ktoś troszeczkę dalej poszedł, to już się do więzienia szło. Taki rygor był, że nie wolno było już trochę za dużo mieć, bo już był kułakiem, bogaczem, wrogiem Związku Radzieckiego.

W czerwcu 1941 roku Hitler zaatakował Związek Radziecki.

Czy w związku z tym Wasza sytuacja poprawiła się?

M.B. Latem 1941 roku ogłoszono dla nas „amnestię”. Dowiedzieliśmy się, że w Związku Radzieckim tworzy się armia Andersa i moja rodzina wraz z innymi rodzinami chcieliśmy dotrzeć do miejscowości, w której był ten tak zwany zbór, tam mieliśmy się zapisać. Wyjechaliśmy z Abkaszewa i barkami dotarliśmy do Asino. To był rok 1941, październik i tutaj jest najbardziej przykra sytuacja mojej rodziny, bo mój ojciec zmarł nie wiadomo z jakiej przyczyny. Stwierdzono niby zawał serca, ale ojciec nie był przyzwyczajony do ciężkiej pracy, głód był i mróz w tej tajdze. Także na tej stacji ojciec 22 października zmarł, mając zaledwie 42 lata i zostaliśmy sami. No i ja miałam wtedy 2 latka. Ponieważ nie było mężczyzny, to nie można było pójść do armii Andersa. Mama musiała wrócić do Abkaszewa.

Kolejne tragiczne wydarzenie, które mogło załamać najsilniejszego nawet człowieka. Pani mama zostaje sama z dwojgiem małych dzieci w ekstremalnych warunkach. Jak sobie radzi, co jej pomaga przeżyć oraz nie stracić nadziei na powrót do domu?

M.B. Mama, brat i ja zamieszkaliśmy w kołchozie Dmitrówka położonym w rejonie Oktiabrsk, obwód północny Kazachstanu. Tutaj przebywaliśmy do końca zsyłki, czyli jeszcze 4,5 roku. Kwaterę

dostaliśmy w lepiance z gliny. Obok nas mieszkała rodzina Nowakowskich, córki Grodzieńskich, których mama też tutaj zmarła, a także rodziny z okolic Lublina. Mama pracowała bardzo ciężko, a myśmy z bratem chodzili do takiej ochronki. Mama pracowała w kotłochzie, wołami orała pole, zbierała ziemiaki, obrywała liście tytoniu. Była też na bazie owczej i pozyskiwała owczy nawóz, bo tam się wszystko wykorzystywało. Z tych odchodów to się robiło takie przyzmy i to wszystko się paliło. Dzieci zbierały na pastwiskach, gdzie krowy się pasły te placki po krowach i to wszystko też potem służyło do palenia. Ten bydlęcy nawóz nazywano „kiziakiem”, ale to nie był brzydki zapach wręcz przeciwnie przepięknie pachniało, bo tam są łąki bardzo ukwiecone. Krajobraz wiosną i latem to jest naprawdę piękny. Tylko ta zima surowa, zima to jest okres bardzo straszny. Tam jakoś zima do -40 dochodziła i trwała od września do maja, ale my to wszystko jakoś przeżyliśmy. Gdy wiał wiatr, to domy były zasypane śniegiem, że nie można było z nich wyjść.

Jak zbudowane były takie glinianki?

M.B. Tam są wysokie trawy i z nich kostki się wycina i składa się jedną na drugą i ta trawa odrasta i tworzą się ściany, które oblepia się gliną i to są takie glinianki. No, z tym, że w tym potem jest bardzo dużo robactwa przede wszystkim pluskwy, pchły, to już nas wszystko jadło. W nocy, żeby nas tak nie gryzły, to się brało mocno gorącą wodę i polewało się nogi łóżek, bo one tak wchodziły po tych nogach, a to robactwo z tą wodą spływało.

Wróćmy jeszcze do dzieci. Czy mogły się tam bawić, uczyć się?

M.B. Będąc w Kazachstanie dzieci bawiły się razem z tymi rosyjskimi. Myśmy mówili dobrze po rosyjsku. Te osoby, które nie pracowały i opiekowały się dziećmi, uczyły je tego, co same umiały. Kiedy powstał w ZSRR Związek Patriotów Polskich, mama zapisała się do niego i dostawaliśmy nawet polskie książki.

Z tego co Pani opowiada wynika jednoznacznie dla nas, że Pani mama była bohaterką. Może służyć za wzór kobiety, matki, Polki. Swoją postawą pokazała, że w każdych warunkach nie należy się poddawać, a rodzina jest najważniejsza.

M.B. Mama była bardzo zaradną kobietą. Mama dożyła 104 lat i zmarła w styczniu dwa lata temu ...Chyba to życie tak ją zahartowało... . Tam nawet Ci ludzie przyjaźni byli. Moja mama była bardzo skromna, nie żądała nigdy nic. Była pokorna, bo tej pokory od nas wymagano. Była pokorna, żeby dzieciom się nic nie stało, żeby jej się nic nie stało. A mama, jak pracowała w tym kotłochzie, zawsze tam dostawała swoją porcję żywnościową, to zawsze przynosiła dzieciom tę zupę, to nie jadła tego, tylko nam zawsze przynosiła. Za pracę otrzymywała lichą zupę i 500 gram chleba dziennie. Mama była strasznie wychudzona, potem zdjęcie do dowodu osobistego trzeba było zrobić, to te wszystkie kości tutaj... Wszystkie dzieci bardzo chorowały, myśmy chorowali na szkarlatynę i ja po tej chorobie przestałam chodzić. Później mój organizm się jakoś wzmocnił i zaczęłam chodzić jak taka kaczką. Chyba tylko dzięki łasce Bożej zaczęłam normalnie chodzić. O modlitwie nigdy nie zapominaliśmy. Bóg i rodzina były dla mamy najważniejsi i tak wychowywała swoje dzieci. Uczyła też dobroci dla innych, o to zawsze do nas wraca.

Kiedy nadeszły jakieś wiadomości z Polski, z domu rodzinnego? W jakich okolicznościach pojawiła się możliwość upragnionego powrotu do Jarocina?

M.B. *Mając legitymację członka ZPP, docierały do nas informacje, co dzieje się w naszym kraju. Wtedy mama wysłała list do swojego ojca w Jarocinie i, o dziwo, dostała odpowiedź. Jakoś w lutym dotarła wiadomość o wyzwoleniu Jarocina. Zakończenie wojny przyjęliśmy z ogromną radością, bo była to dla nas wielka nadzieja na szybki powrót do Polski. W marcu przeszliśmy szczepienia. W maju 1946 roku wyjechaliśmy do Polski. Było to możliwe na podstawie Umowy Polsko-Radzieckiej z dnia 06 lipca 1945 roku. Wszyscy powracający ludzie po przekroczeniu granicy całowali polską ziemię z ogromnej radości. Nasz transport przejeżdżał przez Jarocin, więc mama z nami wysiadła i poszła do Starostwa, bo tam przed wojną pracował jej ojciec. Na początku jej nie poznał...Nie dziwię się, bo przeżycia bardzo ją zmieniły. Radość ze spotkania była ogromna. Łzy zalewały twarz i ścisnęły gardło...*

Wreszcie nastąpił szczęśliwy powrót do rodzinnego miasta. Jak Pani rodzina odnalazła się w tych nowych, powojennych warunkach?

M.B. *Mieszkanie, które opuściliśmy we wrześniu 1939 roku było zajęte. Przygarnął nas mamy ojciec, który mieszkał na ul. Długiej. Ja poszłam do szkoły, bo miałam już siedem lat w sierpniu skończone. Muszę Wam powiedzieć, że chodziłam do tej szkoły, ale była to wtedy siedmioletnia szkoła podstawowa. Uczyłam się na nowo języka rosyjskiego, ale nie mieliśmy do niego jakiejś wrogości czy urazy. Mama zaczęła pracować w bibliotece. Jesienią 1946 roku z wielkiej łaski od miejskich władz ludowych dostaliśmy mieszkanie na strychu bez wody, ogrzewania, toalety. Było tam źle. Życie tu i tam nie różniło się praktycznie niczym oprócz tego, że byliśmy w Polsce. Trwała więc dalej nasza gehenna, ale, niestety, już we własnym kraju.*

Czy Pani ze swoją mamą i bratem wspominaliście czas zesłania, bo przecież dzieci szybko zapominają, a Pani dużo nam opowiedziała o tych trudnych latach?

M.B. *Powiem Wam tyle, że mama to tak jakby się odcięła od swojego życia na Sybirze. Zupełnie zaczęła życie nowe. Nie wspominała. W mojej rodzinie były trzy siostry, wszystkie trzy owdowiały. Nasz ojciec zmarł na Syberii. Jednej cioci mąż zmarł w Katyniu, a tej drugiej cioci, czyli męża siostry mojej mamy w Powstaniu Warszawskim. Jeszcze brat też młody, czyli czterech takich młodych mężczyzn wojna pochłonęła. I zostały wdowy, ale nie było u nas żadnych wspomnień. Nie poddawały się, walczyły o rodzinę. Nie wiem, czy mama się tak bardzo bała, no nie wiem, nigdy nawet jej o to nie pytałam, dlaczego o tym żeśmy nie rozmawiali. Powiem Wam, nic nie pamiętam, opieram się tylko na tym, co moja mama spisała, bo dla mnie tamto życie i tutaj to było zupełnie inne, nowe. Ja tamtego tutaj w Polsce w rodzinie swojej, ciepłej, dobrej, nie pamiętałam, bo ja byłam niemowlakiem. No nie wiem... Nie mogliśmy nikomu mówić o tym, gdzie byliśmy i co robiliśmy. W życiorysie okres ten był nazywany po prostu jako pobyt w ZSRR. Władze nasze wojskowe czy urzędowe nie pomogły nam w żaden sposób. Później tutaj w Jarocinie utworzono Związek Sybiraków. Dopiero wtedy żeśmy mogli się dzielić tym z innymi. Na początku było tam ok. 30 osób, spotykaliśmy się, ale teraz zostało tylko trzynastu i większość z nich ma problemy zdrowotne.*

Bardzo dziękujemy Pani za to spotkanie. Była to dla nas prawdziwa lekcja historii o wydarzeniach z dziejów Polski, o których niewiele wiedzieliśmy. Przekonaliśmy się, że Bohaterowie żyją wśród nas tylko trzeba ich odkryć, a takie wartości jak Bóg i rodzina są uniwersalne.

Wywiad przeprowadzili w czerwcu 2014 r. uczniowie klasy I d Gimnazjum nr 1 im. ks. S. Konarskiego w Jarocinie, w składzie Weronika Marcinkowska, Zuzanna Nowakowska, Weronika Szymankiewicz, Bartosz Hałas, pod opieką Aliny Dziadek.



Maria Bidaszkiewicz z grupą projektową